

A large bonfire of sticks and logs is burning brightly at night, with sparks and flames rising into the dark sky. In the background, several people are standing and watching the fire. The scene is illuminated by the warm, orange glow of the fire.

RABINDRANATH TAGORE

Śmierć Kadambini


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

RABINDRANATH TAGORE

GŁODNE KAMIENIE

Śmierć Kadambini

TŁUM. FRANCISZEK MIRANDOLA

I

Wdowa Saradaśankara, dziedzicznego pana (zamindara) Ranihatu, nie miała nikogo we własnej rodzinie. Ojciec, matka, rodzeństwo, wszyscy poumierali jedno po drugim. W rodzinie męża także nikt jej bliskim nie był... nie mogła zwać „swoim” nawet męża i syna. Pokochała synka brata męzowskiego Saradaśankary miłością wielką i głęboką.

Po przyjściu dziecka na świat matka jego chorowała bardzo długo i ciężko, tak że ciotka zając się musiała pielęgnowaniem i hodowaniem malca.

Gdy kobieta wychowuje dziecko innej kobiety, to miłość dlań jest tym większa, że nie ma żadnego prawa do tego uczucia. Pozbawiona przywilejów macierzyństwa i pokrewieństwa, posiada jeno miłość. A miłość sama, jak wiadomo, nie może praw swych poprzeć żadnym dokumentem przez społeczeństwo za ważny uznawanym.

Nie chce nawet takiego dokumentu, o nic się nie upomina, ale ze zdwojoną namiętnością kocha, cała oddana owemu niepewnemu szczęściu kochania. Cała tedy zatajona dotąd w sercu wdowy miłość przelała się na dziecko.

Pewnej nocy miesiąca Śrabanu zmarła nagle Kadambini. Z jakiegoś nieznanego zresztą powodu serce jej nagle bić ustało. Poza tym cały świat szedł dalej swoją drogą, tylko w tej wątlej, cichej piersi, przepelnionej miłością wierną i wielką, zegar życia stanął na zawsze.

Celem uniknięcia nieprzyjemności ze strony policji czterej służący bramińscy zamindara wzięli ciało i bez żadnych ceremonii pogrzebowych zanieśli je na miejsce spalenia.

Miejsce to leżało w znacznej odległości od wsi. Była tam chata, obok niej zbiornik na wodę i olbrzymi figowiec. Zresztą nic więcej. Dawniej płynęła tędy rzeka, ale wyschła obecnie do szczytu. Jeszcze zanim się to stało, odkopano część koryta i spuszczone resztkę wody do zbiornika, by mieć ją pod ręką na potrzeby kultu zmarłych. Ludność uważała zbiornik za część rzeki i oddawała mu cześć przysługującą wodzie płynącej.

Służący przyniosłszy ciało, złożyli je w chacie. Czekali na drzewo. Czas mijał. Dwaj z nich, zniecierpliwieni czekaniem, wyszli przed chatę, chcąc się dowiedzieć, co jest przyczyną spóźnienia. Po odejściu Nitaja i Guruczarana na straży przy zmarłej pozostali Bidhu i Banamali.

Była ciemna noc miesiąca Śrabanu. Ciężkie chmury zwisały z nieba. Obaj siedzieli milcząco w czarnej chacie. Na nic im się nie zdały zapalki i lampy. Zapalki przemokły i zapalić się w żaden sposób nie chciały, zaś w lampach zabrakło oleju.

Po długim milczeniu ozwał się Bidhu:

— Bracie, byłoby dobrze zapalić sobie fajeczkę. Ale spieszyliśmy się i nie wzięliśmy z sobą tytoniu.

Banamali rzekł:

— Pójdę i przyniosę tytoń oraz zapalki.

Wiedząc, czemu Banamali chce się oddalić, a bojąc się z tego samego powodu zostać sam z ciałem, powiedział Bidhu:

— Tak? Chcesz iść? Ja mam sam zostać? O, nie...

Umilkli obaj. Czas płynął powoli. Pięć minut zdało się godziną. Każdy kłął w skrytości serca tych dwu, którzy odeszli. Niewątpliwie, zamiast iść po drzewo, wyszukali sobie jakiś miły zakątek, siedzą teraz i gwarzą przy świetle i winie.

Cisza była wokół. Od zbiornika dolatywał jeno rechot żab i ćwierk świerszczy. Nagle wydało się obu służącym, że nosze drgnęły, a ciało obróciło się na bok. Bidhu i Banamali przerazili się i zaczęli mruczeć:

— Ram... Ram...

W chacie rozległo się głębokie westchnienie.

Zerwali się z miejsc, wypadli z chaty i pobiegli co sił w nogach w kierunku wsi. Ubiegłszy około trzech kilometrów, natknęli się na towarzyszy wracających z latarniami. Poszli, jak się okazało, po światło i tytoń i nie wiedzieli, kiedy przybędzie drzewo. Oświadczyli tylko, że już została ścięta sosna, a gdy ją rozrąbią, paliwo będzie dostarczone. Bidhu i Banamali opowiedzieli, co im się zdarzyło. Nitaj i Guruczaran wyśmiali się z nich i zwymyślali za to, że zaniedbali obowiązku i uciekli.

Niezwłocznie udali się wszyscy czterej do chaty. Gdy weszli, przekonali się naocznie, że ciało znikło. Nosze były zupełnie puste. Patrzyli po sobie. Czyż ją porwał szakał? Ale nigdzie nie było widać szczątków ubrania.

Wyszedszy z chaty, zobaczyli odbity na mule, który się zgromadził pod drzewami, świeży lekki trop stopy kobiecej. Zamyślili się nad tym, co należy uczynić. Saradaśankar nie był łatwowiernym głuptakiem i nie uwierzyłby w bajkę o duchach, przeto postanowili oświadczyć, że ciało zostało spalone.

Nad ranem zjawili się ludzie z drzewem. Czterej służący bramińscy zwymyślali ich za próżniactwo i powiedzieli, że znaleźli drzewo w chacie i dokonali spalenia zwłok. Nikt się temu dziwić nie potrzebował, zwłaszcza że zwłoki to nie jest skarb mogący skusić kogoś do grzechu kradzieży.

II

Każdy wie o tym, że nawet wówczas, kiedy nie ma żadnego objawu życia, życie owo często przebywa w utajeniu i rozpocząć się może na nowo w ciele martwym na pozór. Kadambini nie zmarła, motor jej życia stanął nagle, z innego zgoła powodu.

Odzyskawszy przytomność, spostrzegła, że ze wszystkich stron otacza ją ciemność. Zauważyła także, że nie leży na swej pościeli. Zawołała głośno:

— Siostro!

Ale nie było odpowiedzi. Usiadła przerażona i przekonała się, że spoczywa na noszach pogrzebnych. Jednocześnie poczuła ból w piersiach i skurcz w gardle. Siostra starsza właśnie grzała mleko dla dziecka, w chwili gdy Kadambini mdlejąc, padła na poduszki i jęknęła:

— Siostro, przynieś dziecko... Tak mi słabo!

Potem wszystko okryła ciemność taka, jak kiedy ktoś wyleje atrament na zeszyt szkolny. Wspomnienia i świadomość Kadambini znikły, litery w księdze świata utraciły w jednej chwili swoje kształty. Wdowa nie mogła sobie przypomnieć, czy dziecko i tym razem, jak zazwyczaj, zawołało słodkim głosikiem:

— Ciociu!

Nie mogła sobie przypomnieć, czy opuszczając tę ziemię, by udać się w długą podróż śmierci, otrzymała pożegnalny dar serca, opłatę miłości na przebycie granic państwa milczenia. Zrazu, tak sędzę przynajmniej, uważała czarne miejsce, gdzie się znalazła, za dom Yamy¹, gdzie nic nie widać, niczego nie słyszać, nic robić nie można, jeno trwać w wieczystym czuwaniu.

Ale nagle wiatr wpadł do chaty przez otwarte drzwi i usłyszała rechot żab. Przypomniała sobie wszystkie pory dżdżów, jakie przeżyła w ciągu krótkiego życia, i uczuła żywo powinowactwo ciała swego z ziemią. Za chwilę mignęła błyskawica i Kadambini ujrzała zbiornik wody, wielki figowiec, rozległą równię oraz grupę drzew w dali.

Wspomniała, że czasem przychodziła tutaj w noc księżycowe kąpać się, i uświadomiła sobie, że drżała zawsze, ile razy ujrzała zwłoki przyniesione do chaty celem spalania.

W pierwszej chwili chciała wrócić do domu. Ale potem szepnęła do siebie:

¹Yama (mit. hind.) — bóg śmierci. [przypis edytorski]

— Umarłam! Jakże mogę wracać? To przyniosłoby nieszczęście żywym! Porzuciłam królestwo życia. Jestem duchem.

Snuała dalej myśli. Gdyby tak nie było, naonczas jakżeby mogła wyjść z domu Sara-daśankary, ze strzeżonych dobrze komnat niewieścich, i jakże mogła przybyć sama tak daleko, aż do miejsca palenia zwłok. Zresztą gdzież są ludzie, którzy mają spalić jej ciało? Przecież nie sposób, by nie dopełniono obrzędów pogrzebowych. Przywiodła sobie na pamięć ostatnie swe chwile w oświetlonym, pełnym życia domu Saradaśankary i zestawiła ten obraz z pustką, nocą, chatą ciałopalną i swą obecnością tutaj. Nie, nie było żadnego węzła łączącego te dwa fakty. Nie mogła się zaprawdę zaliczać do żywych istot, była czymś strasznym, niepojętym, przeraźliwym... była własnym duchem.

Uświadomiwszy to sobie, uczuła, że zerwane zostały wszelkie nici łączące ją ze światem. Wydało jej się, że posiada siły niezwykłe, że swoboda jej jest nieograniczona. Mogła czynić, co chciała, iść, dokąd się podoba... Oszałała, upojona tą nową ideą wypadła wicherem z chaty i znalazła się na miejscu palenia ciał. Nie czuła strachu ni wstydu.

Szła prędko, ale po chwili uczuła, że bolą ją nogi, a ciało chyli się ku ziemi w znużeniu. Równia szła w bezkresy. Gdzieniedzie widniały pola ryżowe, czasem zapadała po kolana w wodę.

Zaczęło świtać. Posłyszała pierwsze głosy ptaków w gęstwie bambusu otaczającej odległe domy. Nie mogła sobie określić nowego stosunku swego do świata żywych i do ziemi. Dopóki znajdowała się w ciałopalni, u zbiornika, okryta czarną nocą Śrabanu, nie znała trwogi, bowiem czuła się obywatelką swego państwa. Teraz gdy dniało, strachem przejmował ją widok siedzib ludzkich. Ludzie i duchy boją się siebie wzajem, albowiem pokolenia ich mieszkają na innych brzegach rzeki śmierci.

III

Odzienie Kadambini pokryło się lepkiem błotem, dziwne myśli i nocna wędrówka nadały jej wygląd obłąkanej. Można się jej było przestraszyć i dzieci by ją zarzuciły gradem kamieni albo rozpierzchnęły się na jej widok w popłochu. Na szczęście pierwszy człowiek, jakiego napotkała, był to podróżny. Zbliżył się i rzekł:

— Matko, wyglądasz na uczciwą kobietę. Gdzież to idziesz sama i w tak zawałanym ubraniu?

Kadambini, niezdolna zebrać myśli, spoglądała nań w milczeniu. Nie mogła sobie wyobrazić, że stoi jeszcze w jakimś stosunku do świata, że wygląda na uczciwą kobietę, że podróżny może jej o coś pytać.

A on powtórzył:

— Chodź, matko! Odprowadzę cię do domu. Powiedz mi, gdzie mieszkasz?

Kadambini zamyśliła się. Było nonsensem wracać do domu mężowskiego, a rodzicielskiego domu nie miała. Przyszła jej na myśl przyjaciółka lat dziecięcych. Nie widziała Jogmai od dawna już, ale pisywały do siebie co pewien czas. Raz wyniknął pomiędzy nimi spór. Kadambini twierdziła, że Jogmaja nie odwzajemnia jej miłości jak należy, a Jogmaja, przeciwnie, wymawiała przyjaciółce oziębłość i niezdolność pojęcia miłości prawdziwej. Obie pewne były, że, spotkawszy się raz, nie rozstaną się już nigdy.

Kadambini powiedziała podróżnemu:

— Chcę iść do domu Śripati w Nisindapurze.

Udawał się do Kalkuty, przeto, mimo że dość odległe, Nisindapur leżało na jego drodze, zaprowadził więc Kadambini do domu Śripati i przyjaciółki spotkały się. Zrazu nie poznały się, potem jednak odnalazły wzajem rysy lat dziecięcych.

— Co za szczęście! — wykrzyknęła Jogmaja. — Nie marzyłam już o tym, że cię zobaczę! Ale w jakim sposobie dostałaś się tutaj, siostrze? Jakże mógł zezwolić ojciec męża twego, byś podróżowała pieszo?

Kadambini milczała chwilę, potem rzekła:

— Siostrze, nie pytaj. Daj mi kącik w twym domu i weź za swoją niewolnicę. Chcę pracować i pomagać ci.

— Co? — krzyknęła Jogmaja. — Ty moją niewolnicą? Ty, moja ukochana Kadambini...

Mówiła długo w tym sensie.

Właśnie w tej chwili wszedł Śripati. Kadambini patrzyła nań przez chwilę wzrokiem tępy, potem wyszła z komnaty wolnym krokiem. Nie zakryła wcale twarzy, nie ujawniła obyczajności właściwej kobiecie i nie oddała czci panu domu. Jogmaja w obawie, by mąż nie uprzedził się do przyjaciółki, zmyśliła na poczekaniu misterny wykręt. Ale Śripati, słuchając z całym poddaniem się wszystkiego, co mówiła, nagle przerwał potok jej wymowy i Jogmaja uczuła coś nieokreślonego, co nie było przyjemne.

Kadambini przybyła, ale nie była już podobna do przyjaciółki. Śmierć stała pomiędzy nimi. Nie mogła żyć się poufale z innymi, gdyż własne istnienie wprawiało ją w zakłopotanie, a świadomość ogarniała inne horyzonty. Często patrzyła na Jogmaję tępy wzrokiem i myślała:

„Oto ona ma swego męża, swą pracę, żyje we własnym świecie, tak odległym od mego. Dzieli się miłością i obowiązkami z ludźmi podobnymi do siebie. Ja zaś jestem znikomym cieniem tylko. Ona żyje, ja trwam w wieczności”.

Jogmaja czuła także jakiś niepokój, nie mogła jednak zdać sobie sprawy, skąd pochodzi. Kobiety nie lubią rzeczy tajemniczych, bo chociaż niepewność można zmienić w poezję, bohaterstwo czy wiedzę, w żaden sposób nie można wstawić jej do rachunków gospodarczych. Dlatego, gdy kobieta czegoś nie rozumie, niweczy tę rzecz albo zapomina o niej, wreszcie próbuje przetworzyć na swój użytek. Jeśli i to jej się nie powiedzie, wpada w gniew.

Im bardziej zamyślona i niepewna była Kadambini, tym usilniej wypytywała Jogmaję, jaki smutek ciąży na jej duszy.

Wyłoniło się jeszcze inne niebezpieczeństwo. Kadambini czuła strach przed sobą samą, nie mogła zaś uciec przed sobą. Ludzie bojący się duchów boją się czegoś, co stoi poza nimi, tam gdzie wzrok ich nie sięga. To jest strach. Tymczasem Kadambini nie bała się niczego stojącego poza nią, nie bała się owych zaświatowych duchów. Jedyne źródłem strachu była dla niej własna jej istota. Gdy znalazła się wśród nocy, w ciszy zupełnej, sama w swojej stancji, wydawała okrzyki. Tak samo drżała na całym ciele, ujrawszy wieczorem przy lampie cień swój na ścianie. Patrząc na trwożliwość Kadambini, wszyscy w domu odczuwali strach i doszło do tego, że służbie i Jogmai samej wydawało się teraz ciągle, że widzą duchy.

Raz o północy Kadambini szlochając, zapukała do przyjaciółki i prosiła błagalnie:

— Siostrze! Pozwól mi położyć się u stóp twoich, nie zostawiaj mnie samej!

Jogmaja wpadła w gniew, a jednocześnie ogarnął ją dreszcz przerażenia. W pierwszej chwili chciała po prostu wygnąć precz przyjaciółkę. Poczciwy Śripati zdołał jednak uspokoić żonę, a potem po wielu usiłowaniach powiodło mu się odprowadzić Kadambini do jej izdebki.

Nazajutrz Jogmaja zawezwała niespodzianie do siebie męża. Od razu zasypała go wyrzutami:

— Cóż z ciebie za mężczyzna? Kobieta ucieka z domu teścia swego i przybywa do ciebie... mija cały miesiąc, a ty ni słowem nie dałeś jej do zrozumienia, by wracała! Nie słyszałam z twojej strony najmniejszego protestu. Proszę cię, powiedz mi zaraz, co to ma znaczyć?... Oooo... wszyscyście jednacy... znam ja was...

Większość mężczyzn ma takie upodobanie do swych żon, że wbrew rozsądkowi, dobrowolnie dają się terroryzować i zwać na się winy, do których się nie poczuwają. Śripati miał zamiar wzruszyć Jogmaję i przysiąc, że przyjacielska jego sympatia dla opuszczonej, ale pięknej Kadambini nie była ani na włos większa, jak należy, ale zachowaniem swym nie udowodnił tego zgoła.

Powiedział żonie, że widocznie w domu teścia obchodzono się z wdową po synu w sposób tak haniebnym, iż znieść tego dłużej nie mogła i, chcąc nie chcąc, schroniła się do przyjaciółki. Nie ma ni ojca, ni matki, czyż tedy może ją opuścić? Na tym zakończył całą sprawę, gdyż nie miał zamiaru dręczyć Kadambini przykrymi dla niej pytaniami.

Ale żona nie przestawała czynić wysiłków, by pobudzić do czynu swego opieszalego władcę i pana, tak że widział się w końcu zmuszonym, dla świętego spokoju, zawiadomić teścia Kadambini o stanie rzeczy. Ponieważ napisanie listu uznał za niedostateczne, tedy postanowił udać się osobiście do Ranihaty, przekonać się naocznie o wszystkim, a potem odpowiednio postąpić.

Poszedł tedy, a Jogmaja odezwała się do Kadambini:

— Siostró! Nie wypada, byś tutaj dłużej przebywała! Cóż ludzie na to powiedzą?

Kadambini spojrzała na przyjaciółkę tępym wzrokiem i odparła:

— Ludzie? A cóż mnie z ludźmi łączy?

Jogmaja osłupiała. Po chwili przyszła do siebie i powiedziała ostrym tonem:

— Jeśli ciebie ludzie nie obchodzą, to jednak obchodzą nas. Jakże przeto usprawiedliwimy przed nimi, że trzymamy u siebie kobietę, która jest członkiem innej rodziny i winna się znajdować w domu swego teścia?

Kadambini odparła z jakimś zdziwieniem:

— A gdzie jest dom mego teścia?

„Niech ją diabli biorą!” — zakrzyknęła w duchu Jogmaja. — „Ciekawam, co za brednie jeszcze usłyszę?”.

A Kadambini ozwała się:

— Cóż ja mam wspólnego z wami? Wszak nie przynależę do tej ziemi! Wy, ludzie, śmiejecie się, płaczecie, kochacie się, każdy z was bierze, co mu przystoi, i trzyma w ręku dobro swoje... Ja patrzę tylko na to wszystko. Wy jesteście ludźmi żywymi... ja jestem cieniem tylko. Nie pojmuję, doprawdy, po co Bóg pozostawił mnie na ziemi... czemu się dotąd po niej wałęsam...

Słowa te i spojrzenia były tak dziwne, że Jogmaja zrozumiała nieco zachowanie się Kadambini. Naturalnie nie pojęła wszystkiego, ale nie czując się na siłach wydalić ją z domu, a także widząc bezskuteczność dalszych pytań, odeszła pogrążona w myślach.

IV

Śripati wrócił z Ranihatu późno w nocy. Była godzina dziesiąta, a deszcz lał strumieniami. Zdawało się, że ulewa nie ustanie nigdy, a noc trwać będzie wiecznie.

Jogmaja spytała natychmiast:

— I cóż?

— Mam bardzo dużo do powiedzenia! — odrzekł.

Poszedł zmienić przemoczone odzienie na suche, potem zjadł kolację, a wreszcie położył się do łóżka. Palił fajkę i milczał. Był bardzo wzruszony.

Żona tłumila długo ciekawość, ale nie mogąc wytrzymać, zbliżyła się w końcu do jego pościeli i spytała:

— Cóż się dowiedziałeś?

— Przekonałem się, iż popełniłaś wielką omyłkę.

Jogmaja uczuła się dotknięta. Kobiety nie myślą się nigdy, a jeśli się to nawet stanie, to rozsądny mężczyzna nie powinien ni słowem wspomnieć o takim fakcie. Lepiej uczyni, jeśli weźmie skutki na swoje barki. Jogmaja ozwała się:

— Może raczysz mi powiedzieć, w czym się omyliłam?

— Kobieta, którą przyjąłś w dom nasz, nie jest twą przyjaciółką lat dziecięcych, imieniem Kadambini!

Jogmaja rozgniewała się, słysząc te słowa. Złościło ją zwłaszcza to, że słyszy je od własnego męża.

— Co? Ja miałabym nie poznać przyjaciółki? Muszę dopiero od ciebie zasięgać informacji? Doprawdy rozsądny z ciebie człowiek!

Śripati wyjaśnił żonie, że nie ma tu co rozprawiać o jego rozsądku, gdyż może swe słowa poprzeć dowodami. Nie ulega żadnej wątpliwości, iż przyjaciółka Jogmai, Kadambini... zmarła.

— Słuchaj! — powiedziała oburzona. — Nie przecz... Pewna jestem, iż nie trafiłeś do domu Saradaśankarów, ale zaszedłeś gdzie indziej i przynosisz same poprzekręcane plotki. To wszystko brednie. Po cóż w ogóle chodziłeś? Napisz list, wyślij pocztą, a wszystko się wyjaśni.

Śripati obraził się, iż żona mu nie wierzy i podejrzewa, że sprawność jego władz umysłowych jest niedostateczna. Przytoczył tedy wszystko, co mógł, opowiadał szczegółowo, co widział, cytował nazwiska. Ale wszystko było daremne. Nadeszła północ, a oni spierali się jeszcze z sobą.

Kobieta, Mężczyzna

Zgodzili się tylko na jedno, mianowicie na to, że Kadambini musi się z ich domu wynosić. Śripati upierał się przy twierdzeniu, że rzekoma przyjaciółka jego żony jest inną osobą, a Jogmaja przyszła do przekonania, że jest prawdziwą, tylko wygnano ją z domu za złe prowadzenie się i dlatego twierdzą, iż umarła, co ma być rozumiane symbolicznie. Żadne z małżonków nie chciało ustąpić drugiemu, a wśród sporu zapomnieli całkiem, że Kadambini śpi w sąsiednim pokoju, i krzyczeli na całe gardło.

Mąż wołał:

— A to dopiero awantura! Powtarzam ci, że słyszałem na własne uszy, że umarła!

— Co mnie to obchodzi! — upierała się żona. — Wierzę własnym oczom! Dla mnie to najlepszy dowód... ta kobieta jest niezawodnie Kadambini!

Po chwili Jogmaja, chcąc przywoździć męża i udowodnić mu jak na dłoni omyłkę i fałsz, wzięła się na sposób.

— No, dobrze! — ozwała się. — Powiedz mi dokładnie, kiedy wedle ciebie umarła Kadambini?

Sądziła, że zwycięży, jeśli wykryje sprzeczność pomiędzy datą śmierci a datą ostatniego listu przyjaciółki, i zamknie mężowi raz na zawsze usta.

Wymienił jej dzień i przekonali się oboje, że data zgadzała się dokładnie z wilią dnia, w którym Kadambini zjawiła się w ich domu.

Jogmaja zadrżała, a Śripati także uczuł dreszcz na plecach.

W tej chwili otwarły się drzwi. Wpadła fala mokrego wiatru i lampa zgasła. Ciemność wdarła się do komnaty i wypełniła cały dom. Kadambini stała pośrodku sypialni. Deszcz szeleścił po ścianach, oknach i dachu.

Kadambini powiedziała głośno:

— Jogmajo! Jestem twą przyjaciółką Kadambini, ale nie żyję już... umarłam w dniu podanym przez męża twego!

Jogmaja wrzasnęła śmiertelnie przerażona, Śripati nie mógł mówić.

— Umarłam... to prawda. Ale nie uczyniłam ci żadnej krzywdy. Nie mam miejsca pośród żywych i nie mam miejsca pośród umarłych... O... dokądże mam iść?

Plącząc rozgłośnie, jakby chciała zbudzić śpiącego wśród tej strasznej ulewnej nocy Stwórcę, powtórzyła raz jeszcze:

— O! Dokądże mam iść?

Powiedziawszy to, opuściła przyjaciółkę, leżącą w omdleniu na ziemi w ciemnej sypialni, i poszła w świat szukać miejsca dla siebie.

V

Trudno opisać, jak Kadambini dostała się do Ranihaty. Zrazu nie pokazywała się nikomu. Cały dzień spędziła w ruinie jakiejś świątyni, ginąc niemal z głodu. Dopiero kiedy deszczowe popołudnie przemieniło się w czarną noc, a ludzie skryli się przed ulewą po domach, wyszła na świat.

Serce jej biło mocno, gdy stanęła pod domem teścia swego. Zasłoniwszy twarz gęstym welonem, otrzymanym od przyjaciółki, weszła do środka. Służba pilnująca bramy nie stawiała jej przeszkód. Myśleli zapewne wszyscy, że to jedna ze służebnych wraca, spełniwszy polecenie.

Pani domu, żona Saradaśankara, grała w karty ze swoją synową. W kuchni krzątała się kucharka. Synek szwagierki leżał chory w sypialni. Kadambini, niepostrzeżona przez nikogo, dostała się do tej właśnie komnaty. Trudno zbadać, czemu wróciła do domu teściów, nie wiedziała tego sama. Czuli tylko, że pragnie zobaczyć swego ukochanego malca. Nie zdawała sobie sprawy, co ma czynić i mówić.

Zobaczyła dziecko śpiące w oświetlonym pokoju. Miało zaciśnięte piąstki, a ciałem jego wstrząsały dreszcze. Na widok malca serce Kadambini wezbrało palącym pragnieniem. O, gdybyż mogła przytulić to biedne ciało do piersi swojej! Jednocześnie przyszło jej na myśl:

— Mnie już nie ma! Któż spostrzeże? Matka jego przepada za kartami, pogwarką i towarzystwem. Przez cały czas, kiedy pielęgnowałam dziecko, nie dbała o nie wcale, nie pragnęła go nawet widzieć. Któż się teraz zajmie malcem? Kto mnie zastąpi?

Chłopiec przewrócił się na bok i na pół przez sen zawołał:

— Ciociu! Wody!

Drogi, kochany malec nie zapomniał dotąd ciotki. Z gorączkowym pośpiechem nalala wody do szklanki, wzięła malca na ręce i dała mu się napić.

Dopóki chłopiec spał, nie widział w tym nic dziwnego, że ciotka napoiła go wodą. Nawykł do tego. Kiedy jednak Kadambini, ulegając wewnętrznej potrzebie serca, pocałowała go i zaczęła bujać na rękach, obudził się i objął ją za szyję.

— Czy to prawda, cioteczko — spytał — że ty umarłaś?

— Tak, kochanku! — odparła.

— Ale wróciłaś do Satiska? O, proszę cię, nie umieraj już drugi raz!

Zanim zdołała odpowiedzieć, stała się rzecz straszna. Do pokoju weszła służąca z miską sago. Na widok Kadambini upuściła naczynie i padła na ziemię. Na odgłos upadku porzuciła jej pani karty i weszła do sypialni. Spojrzała i skamieniała, nie mogąc ruszyć się ani mówić. Dziecko widząc, co się dzieje, przeraziło się także. Zaczęło płakać i wołać:

— Idź sobie! Idź sobie, ciociu!

W tej chwili zrozumiała Kadambini, że żyje, że nie umarła. Dawne otoczenie, pokój, meble, ukochany malec, miłość jego, wszystko to stało się na powrót żywe, bliskie, nie było ni śladu przerwy w przyczynowym łańcuchu zjawisk. Gdy mieszkała u przyjaciółki, wydawało się jej, że to, w czym żyła przedtem, znikło. Jeden krzyk dziecka zmienił wszystko. Zwracając się do szwagierki, powiedziała:

— Czemuż boisz się mnie, siostrze? Wszakże jestem tą samą, jaką byłam zawsze. Czyż mnie nie poznajesz?

Szwagierka nie mogła znieść dłużej wstrząsu nerwowego i padła zemdlna. Do sypialni wszedł sam szwagier Saradaśankar. Złożył ręce i zaczął mówić błagalnym głosem:

— Kadambini! Co czynisz? Czy nie masz litości? Satik to mój syn jedyny... Czemuż jemu ukazujesz się właśnie? Czyż dziecko to nie jest członkiem własnego rodu twego? Od czasu, gdyś odeszła, z każdym dniem było z nim coraz gorzej, ciągle wołał: „Ciociu! ciociu!”. Ale wszakże opuściłaś ten świat, rozerwij tedy, błagam cię, złudną oponę Mai... Oddamy ci wszystkie hołdy i całą cześć umarłym należną!

Kadambini nie mogła dłużej słuchać i powiedziała:

— Ja nie umarłam, nie umarłam. Jakże was zdołam przekonać? Żyję! Żyję!

Podniosła urnę brązową stojącą na ziemi, uderzyła się nią w czoło. Krew spłynęła po twarzy.

— Patrzcież! Krew! Tedy żyję!

Saradaśankar stał niby słup kamienny, dziecko krzyczało ze strachu, obie zemdłone kobiety leżały na ziemi.

— Nie umarłam! Żyję! — zawołała Kadambini raz jeszcze, potem wybiegła z pokoju, przesunęła się szybko po schodach, skierowała się ku studni podwórzowej i skoczyła w głąb. Saradaśankar usłyszał z pierwszego piętra plusk wody.

Przez całą noc trwała ulewa, deszcz padał na drugi i na trzeci dzień jeszcze.

Śmiercią swą stwierdziła Kadambini dowodnie, że nie umarła.

Duch

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/tagore-smierc-kadambini>

Tekst opracowany na podstawie: Rabindranath Tagore, Głodne kamienie i inne opowiadania, tłum. Jerzy Bandrowski, Franciszek Mirandola, Czytelnik, Warszawa 1961.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Dagmara Deska, Dorota Kowalska, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: Eli Tucker, CC BY-SA 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przełącz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przełącz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).